Nr. 12. Warszawa dnia 13 (25) Marca 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZETELNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY

łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Król.	
rocznie. . . .	rs. 3 k. 60	rocznie . . .	rs. 5
półrocznie. . .	„ 1 „ 80	półrocznie . .	„ 2 k. 50
kwartalnie. . .	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie . .	„ 30	w Prusach „	5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy-Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

CZYTELNIE MAŁOMIASTECZKOWE.

Jeżeli podniesienie dzisiejszego stanowiska mniejszych i większych miasteczek naszych należy do spraw związanych bezpośrednio z pomyślnością zbiorową, jeżeli wprowadzeniem owych zacofanych partykularzy na drogę rzetelnej i postępowej pracy uzależnia się, w znakomitej części, rzeczywisty postęp społeczeństwa i istotny rozwój żywotnych sił kraju, to podstawowym znów warunkiem podobnej metamorfozy i podobnych następstw—ogólnych, jest przedewszystkim podniesienie skali małomiejskiej umysłowości jest odpowiedni tam rozwój intellektualnego ruchu i życia. Do niedawna atoli jeszcze samo urzeczywistnienie tego właśnie rozwoju, sam fakt owego umysłowego ruchu i życia, pozostawał tam w sferze jakichś niedoścignionych ideałów, jakichś abstrakcyjnych mrzonek. W rzeczy bo też samej, umysłowe życie partykularzy zamykając się w stereotypowej a krańcowej ciasnocie nie znajdowało dla siebie żadnych zgoła sprzyjających warunków, żadnych konkretnych i, odpowiednio wpływać tu mogących danych. Książki przy dotychczasowym ustroju naszego księgarskiego handlu, nie miały tu absolutnie przystępu, poczucie obowiązku warstw oświeceńszych względem nieoświeconych było uśpione, a inicyjatywa małomiasteczkowej inteligencyi, na polu szerszej działalności zewnętrznej, ograniczała się co najwyżej do przewodniczenia knajpiarskim posiedzeniom, plotkarskim zebraniom, bezykowym wieczorkom i t. p. Dziś jednakże, nie przesadzimy bynajmniej, jeżeli powiemy, że stan rzeczy podobny, z gruntu niejako się zmienia. Handel nasz księgarski wyrwany z dotychczasowej rutyny, na nowe wstępuje drogi, a niedawno uorganizowana warszawska spółka kolportacyjna, już obecnie, to jest w samym początku swej działalności daje praktyczną rękojmię, że małomiasteczkowa publiczność dla zaspokojenia duchowych swych potrzeb, może mieć coś więcej nad uprzywilejowane kalendarze, że przeciwnie, na równi z publicznością warszawską korzystać jest w stanie z wszelkiego rodzaju umysłowej strawy, że słowem ruch księgarski przenika już dziś tam, gdzie był przedtym całkowicie nieznanym, że ruch ten wciska się wszędzie, dosięgając najciaśniejszych zakątków prowincyi. Z drugiej zaś strony i miejscowa inteligencyja poczyna nieco jaśniej pojmować ciążący na niej obowiązek społeczny, poczyna przychodzić do przekonania, że reforma dzisiejszego stanu partykularzy od niej w znakomitej części zależy, że przeto inicyjatywa w zakresie, rozwijania w otaczających ją szeregach, potrzeb duchowych i szerzenia w tym kierunku umysłowego światła, staje w rzędzie pierwszorzędnych życiowych jej zadań i ogólniejszych celów. Dziś też, odnośnie do tego rodzaju inicyjatywy, coraz liczniejsze i z rozmaitych stron kraju dochodzą nas wieści. Tu np. małomiasteczkowa inteligencyja urządza szereg popularnych odczytów, owdzie zawiązuje się amatorsko-dramatyczne towarzystwo miejscowe, tam znów jakiś czynny propagator umysłowego życia krząta się około utworzenia biblijoteczki fabrycznej i t. d.; wszędzie słowem inicyjatywa, o jaką w tej chwili nam idzie staje się już obecnie faktyczną, wszędzie spotykamy jej dość wybitne już ślady. A jak z jednej strony ślady te są istotnie pocieszającym objawem, tak z drugiej znów, zestawione z dokonywającą się obecnie a zaznaczoną przed chwilą reformą handlu księgarskiego, stanowić mogą pewną gwarancyją, że podniesienie się poziomu małomiejskiej umysłowości ma już poniekąd grunt przygotowany, że dla rzeczywistego rozwoju, miejscowego—intellektualnego ruchu znajdują się już owe właśnie niedostające przedtym praktyczne dane i konkretne warunki. Nie dość jednakże na tym, nie dość mieć grunt przygotowany i sprzyjające warunki; potrzeba nadto starać się okoliczności te wyzyskać w najszerszy i najkorzystniejszy sposób—potrzeba tu skierować wszelkie usiłowa-

ŚLADY ŻYCIA.

XII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Od niejakiego czasu pewną część peryjodycznej prasy naszej opanowała... jakaś...teatro... albo lepiej aktoromanija. Dla przekonania się o tym dość wziąć pierwszy lepszy numer, niektórych zwłaszcza organów dziennych i porównać: jaką to część reprezentują tu wiadomości dotyczące teatru w obec faktów ze wszystkich innych dziedzin życia i organicznej pracy społeczeństwa. Gdy pierwsze zajmują całe szpalty... ba... i całe nawet kolumny—dla ostatnich przeznacza się ostanie i zaledwie kilkowierszowe... miejsce. Gdybyć to zresztą owo tak szerokie traktowanie spraw teatralnych odnosiło się tylko do jakichś krytycznych, rozumowanych sprawozdań, gdyby miało na celu zaznajamianie szerszych kół publiczności z wartością danych dzieł dramatycznych byłoby to jeszcze... pół biedy. Lecz... niestety, tu idzie właśnie nie o dzieła sztuki, ale poprostu o prywatne sprawy—pewnych osobistości, pewnych uprzywilejowanych scenicznych...... powag. Pani X. wyjeżdża dajmy na to... do Krakowa; i dalejże dzienniki jednozgodnym chórem opiewają szeroko fakt ten na rozmaite tony; pani X. wraca z zagranicy; znów te same jeremijady na cześć "ulubionej artystki"; pani X. skutkiem przeziębienia „lekko zasłabła“, i dalejże żałosne kwilenia „rozbrzmiewają swoim szerokim echem“. Pan N. „niezrównany tragik“ deklamował na wieczorku u pani K... a oto szpalty dzienników jęczą znów pod opisami tego tyle ważnego faktu. W takt zaś za organami prasy warszawskiej opowiadają nam sceniczno-aktorskie dzieje pisemka prowincyjonalne i (z wyjątkiem „Tygodnia“) zdają się już one o niczym więcej nie wiedzieć. Przejrzyjmy wreszcie korespondencyje z prowincyi do pism warszawskich, a na sto — pięć może zaledwie z nich donosi nam o faktach ogólniejszych innych, nie zaś o... teatralnych.

Nikt nas zapewne nie posądzi o intencyją lekceważenia sztuki dramatycznej jako cywilizacyjnego czynnika i nie uznawania względnych zasług, pracujących na tym polu, jednostek. Czy jednakże, względnie do dzisiejszych naszych potrzeb, dzisiejszych warunków pracy i dzisiejszej zresztą sytuacyi ogólnej, jednostronne zajmowanie się *pseudo*-społecznemi faktami, wychodzi ogółowi na dobre. Czy raczej dziś, gdy ogół ten przechodząc w stadyjum głębszej nieco rozwagi, usiłuje zarazem wejść na drogę zdrowej i systematycznej pracy, usiłuje podźwignąć się z długiej niemocy ekonomicznej i polepszyć przedewszystkim swój byt materyjalny, czy dziś, powtórzymy, ogół ten, odrywając swą uwagę od całego szeregu poważniejszych zajęć, ma koniecznie (jak sobie tego dziennikarska aktoromanija życzy) w skupieniu ducha myśleć o drobiazgach życiowych „*ulubionych* artystek“ i niezrównanych... tragików?

nia, by ów rozszerzający się prąd umysłowy, nietylko odpowiednio podsycać, lecz zarazem ująć go w pewne systematyczne formy, wytknąć mu jasno określone drogi i wytworzyć tu wreszcie odpowiednie stałe czynniki. Jakież to atoli mają być mianowicie owe systematyczne formy i owe podsycające, budzący się tam ruch umysłowy, stałe czynniki. Otóż jednym z tych ostatnich, jak i jedną z form najodpowiedniejszych, jest, zdaniem naszym, dobrze uorganizowane *miejscowe czytelnictwo*.

Już w innym miejscu mieliśmy sposobność powiedzieć że upowszechnianie zdrowego i pożywnego czytelnictwa, ma dla nas, względnie raczej do naszych warunków i do naszych duchowych potrzeb, szerokiej doniosłości znaczenie, że jeżeli gdzie, to u nas nadewszystko, czytelnictwo samo w sobie, jako czynnik oświaty, jako bodziec podniesienia skali umysłowości zbiorowej ma do spełnienia *specyjalnie* szczytną i szeroko sięgającą misyją [1]). Na tej przewodniej zasadzie wspierać się musi i czytelnictwo małomiasteczkowe, z tą raczej myślą czytelnictwo to, szerzyć i upowszechniać się winno. Jest ku temu dziś otwarta i przygotowana droga, jest możność pozyskania na każdym partykularzu odpowiedniej ilości książek i co więcej — w sferze umysłowych potrzeb—budzi się tam coraz widoczniej czynna inicyjatywa inteligentnych jednostek. Idzie więc o to, by samemu upowszechnianiu małomiejskiego czytelnictwa dać pewien naturalny impuls, a przedewszystkim nadać mu stały i systematyczny kierunek, ku czemu znów najlepiej i najrzetelniej posłużyć może tworzenie i utrzymywanie *małomiasteczkowych czytelni*.

Tymczasem, na tym właśnie punkcie nic prawie jak dotychczas nie zrobiono; ten raczej środek upowszechniania czytelnictwa i rozwijania małomiasteczkowego umysłowego ruchu—nie znajduje do tej pory praktycznego zastosowania. Dlaczego?—nie myślimy tutaj dochodzić; wiemy zresztą dobrze, że mimo znacznego stosunkowo i bądź co bądź, zaprzeczyć się nie dającego postępu na polu umysłowych naszych dążności wogóle i wzrastających z każdą chwilą w tym kierunku potrzeb,—tworzenie jednak i zakładanie wszelkich czytelni nie jest jeszcze u nas rzeczą powszednią, że przeciwnie, działalność tego rodzaju napotyka na jakiś dziwny i nieprzełamany, jak dotychczas opór. I jeżeli, nasza Warszawa, owa przecież „mózgownica kraju“ i główna promotorka społeczno-umysłowego życia, mimo licznych i ożywionych na ten temat dyskusyj, mimo ciągłych prawie obywatelskich nawoływań prasy, nie może przyjść do posiadania własnej czytelni publicznej, to nic dziwnego, że przygniecione długą martwotą drobne nasze miasteczka, na tworzenie czegoś podobnego u siebie nie mogą również się zdobyć. Niemniej jednak okoliczność ta, nie upoważnia wcale tych ostatnich do naśladowania pod tym względem swej przewodniczki—Warszawy;—tym więcej że jeżeli potrzeba czytelni publicznej w Warszawie jest pilną to na prowincyi, w każdym raczej miasteczku jest ona stokroć pilniejszą, stokroć więcej *niezbędną*. W Warszawie przy braku czytelni publicznej istnieją (prawda nie odznaczające się zbyt świetnym doborem dzieł) choćby tak zwane antykwaryjuszowskie czytelnie prywatne; tu zresztą w każdej prawie cukierni, w wielu również restauracyjach, i t. p. zakładach spotkać się można z pewną liczbą pism peryjodycznych; gdy tymczasem, w mniejszych zwłaszcza miasteczkach, wszystkie te środki uprzystępniania czytelnictwa i uprzystępniania go *masom* są najzupełniej obce. I jeżeli czytelnictwo, w pośród miejscowych warstw oświeceńszych do niedawna jeszcze ograniczało się co najwyżej do kalendarzy, a obecnie w szerszych nieco uzewnętrznia się formach, to natomiast względnie do klas mniej oświeconych dawniejszy stan rzeczy nic się prawie nie zmienił. Jak dawniej tak i dziś jeszcze małomiasteczkowy np. rzemieślnik (mieszczanin) oprócz książki do nabożeństwa, którą zresztą umie na pamięć nie zna, nie widzi nawet przez całe życie, innej. Jak też przeto dawniej, tak i w chwili obecnej w chwili widocznego rozwijania się wydawniczo-księgarskiego ruchu i coraz silniejszych drgnień umysłowego życia — całe szeregi małomiejskiego mieszczaństwa, pozostają po za tym ruchem i życiem, pozostają na tym samym punkcie ciasnoty pojęć i umysłowej niemocy. Jeżeli zaś zwrócimy tu bliższą nieco uwagę, że w pośród tych to właśnie szeregów istnieje największy stosunkowo zasób społeczno-moralnego zdrowia i moralnej siły, że w łonie prowincyjonalnego mieszczaństwa naszego uderzają może najsilniej wszystkie tętna zacnych, obywatelskich uczuć i uczciwych dążności, to zgodzić się niewątpliwie musimy, że wprowadzenie pomiędzy te zacofane dziś szeregi ożywczego i postępowego światła z pomocą szerzej upowszechnionego i umiejętnie uorganizowanego czytelnictwa, z pomocą słowem odpowiednio urządzonych małomiasteczkowych czytelni; — jak z jednej strony zdaje się być potrzebą splecioną z interesem całego społeczeństwa, tak z drugiej znów, samo urzeczywistnienie potrzeby tej, nie należy bynajmniej do fantazyjnych zachcianek.

Iść więc może jedynie o to, w jaki mianowicie sposób urzeczywistnienie to nastąpićby powinno, w jaki sposób małomiasteczkowe czytelnie powstać i funkcyjonowaćby mogły?

Przedewszystkim uwzględnić tu musimy istniejące już w niektórych miejscowościach i tworzące się nawet coraz liczniej tak zwane *kółka czytelnicze*. Niezawodnie, kółka te w zasadzie są dobre; ograniczając się jednak do zaspokojenia umysłowych potrzeb warstw tylko inteligientniejszych, nie posługują one wcale klasom mniej rozwiniętym nie oddziaływają przeto na upowszechnienie czytelnictwa w tym zakresie, w jakim oddziaływanie to widziećbyśmy pragnęli i nieuprzystępniają czytelnictwa tej mianowicie klasie małomiejskich mieszkańców, która dziś wszelkiej umysłowej strawy jest pozbawioną, a które to znów zadanie tylko *stałe* czytelnie miejscowe spełnićby mogły. Któż atoli czytelnie te ma zakładać, skąd na tworzenie ich mają się znaleść odpowiednie fundusze, i kto ma niemi zarządzać? Na każde z tych pytań, postarajmy się dać oile możności jasną a praktyczną odpowiedź.

Jak obecnie ci sami, którzy dają inicyjatywę w organizowaniu kółek czytelniczych, mogliby niemniej wziąć udział w tworzeniu małomiasteczkowych czytelni. Inicyjatywa zresztą, jak to już wyżej wspomnieliśmy, ze strony małomiasteczkowej inteligencyi—w sprawach ogólniejszego znaczenia coraz częściej się zjawia; trudno więc przypuszczać by na tak wdzięcznym i tak wiele obiecującym polu znaleść się ona nie mogła. Trudniejszą natomiast zdaje się być rzeczą znalezienie odpowiednich funduszów; — lecz i w tym razie mamy gotową już radę. Dziś biblijoteczki kółek czytelniczych tworzą się z funduszów składkowych; ta sama więc jak nateraz przynajmniej, pozostaje droga i dla małomiasteczkowych czytelni. Tam wprawdzie zachęca niejednego

[1]) Czytelnie dziecinne „Nr. 9 Opiekuna Domowego.“

* * *

Czytelnicy nasi wiedzą zapewne dobrze, ile to ostrych przymówek znosiło i znosi, prawie ustawicznie, grono młodych pisarzy, za, *jakoby*, nieposzanowanie zasługi starszych a właściwie za to, że młodzi ci pracownicy, pragnąc dla swego społeczeństwa zdrowia, życia i siły, nieuznawali *pseudo*-powag nie mogących na co innego się zdobyć, jak tylko na bezmyślne krzyki o zarozumiałości młodych, jak tylko na bluzganie tym ostatnim w oczy—zarzutem jakichś tendencyj szkodliwych. Lecz... „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi“,—powiada przysłowie. Wiedzą też niemniej i wszyscy czytelnicy bezstronni, wie raczej cały trzeźwo myślący ogół, że jak z jednej strony wszystkie owe krzyki i gromy przeciw „nowatorom“, były i są echem własnej, ze strony rzucających gromy te, umysłowej niemocy, były zresztą podszyte faryzeizmem i obawą o interes osobisty, tak z drugiej znów, ogół ten wie również dobrze i otym, że owa obrzucana przeróżnemi epitetami „młoda prasa“ umiała i umie cenić zawsze zasługi starszych, lecz zasługi *prawdziwe*, że ci młodzi pracownicy, idąc naprzód o własnych wytężonych siłach, zwracają się jednak zawsze chętnie, żywo i gorąco, zwracają się myślą i sercem ku starszym przewodnikom, lecz przewodnikom na polu *rzeczywistej nauki i pracy;* zwracają się oni ku osobistościom, które nie chołdując uprzedzeniom miłują przedewszystkim *prawdę*. Na czele zaś takich przewodników, i takich zarówno dla „młodej prasy“ i całego społeczeństwa drogich osobistości, stoi niezaprzeczenie, w pośród żyjących, nasz *Józef Ignacy Kraszewski*. Zasługi tego powieściopisarza estetyka, historyka i poety, zazbyt dobrze ogółowi są znane, byśmy potrzebowali je tu wyliczać; zaznaczymy więc tylko, że dla uczczenia, choć w maleńkiej cząstce zasług tych, owo inkryminowane przez *pseudo*-powagi, grono młodych literatów, złożone z przeszło sześćdziesięciu osób w dzień imienin Kraszewskiego złożyło mu pamiątkowe album. Notując ten fakt, chcielibyśmy mu dać imię: „cześć pracy i prawdzie, cześć ludziom, którzy dźwigając brzemię lat wielu, nie odpychają młodszej swej braci, lecz podają jej zawsze gotową i pomocną rękę, którzy idąc równolegle z prądem chwili obecnej,—przewodniczą nam stale“! Album obejmuje wewnątrz 62 fotografije. Oprawę stanowią okładki drewniane rzeźbione w odpowiednie napisy i emblematy, i ozdobione popiersiem czcigodnego solenizanta odlanym z bronzu przez znanego rzeźbiarza tutejszego p. Syrewicza,—ornamentacyje fotografii pana Pilatego, — całość wykonana w *Warszawie*.

* * *

Przed niedawnym czasem zapytywaliśmy w piśmie naszym, jak też stoi sprawa prywatnego lombardu w Warszawie, zwracając uwagę, iż czas byłby już wielki, by ta od tak dawna zapowiadana instytucyja rozpoczęła raz nareszcie swe... życie. Otóż jakby w odpowiedzi na pytanie to, spotkaliśmy ze strony pana J. S. w „Kuryjerze Codziennym“ objaśnienie, że... że.. lombard ów... wcale jak *nateraz* do skutku nie przyjdzie. A dlaczego? Podług p. J. S. dla bardzo prostej przyczyny. Mianowicie dlatego, że prasa tutejsza nie zna się na wszelkich przedsiębierstwach akcyjnych, że jest na tym punkcie krótkowidząca i niedołężna, że nie umie odróżnić przedsiębierstw „matematycznie“ pewnych od prawdopodobnych i t. d.; słowem cały ciężar winy, co do odłożenia lombardu ad acta, spada na... prasę. Jakkolwiek nie wiemy na czym w szczególności pan J. S. zarzut ten swój opiera, to jednak samo w sobie oskarżenie tego rodzaju, wydaje się nam być co najmniej nie logicznym. Cóż bowiem prasa ma wspólnego z niedołęstwem czy nieumiejętnym wzięciem się do rzeczy panów założycieli danego przedsiębierstwa? Albo co prasa temu winna, że układający ustawę ułożyli ją wadliwie czyniąc tym sposobem przedsiębierstwo w samym już zarodku zwichniętym? Co nako-

do składki, następujące zazwyczaj później losowanie książek, gdy natomiast w organizowaniu czytelni stałych, przynęta podobna niemogłaby już mieć miejsca. Lecz też zamiast składki wynoszącej, jak to obecnie się praktykuje, rsr. np. 15—wkłady pojedyncze mogłyby nieprzenosić rubli srebrem dajmy na to pięciu, a liczba natomiast wkłady te wnoszących, (które zresztą winnyby być rozłożone podług stopnia zamożności), mogłaby być w trójnasób czy w czwórnasób większą. Fundusz w ten sposób zebrany, starczyćby naturalnie musiał na samo pierwotne założenie choćby najskromniejszej czytelni, na kupno mianowicie książek, prenumeratę pism, najem lokalu i t. p. Następnie, oile stopa składek *rocznych* mogłaby być zniżoną, otyle składki te same musiałyby być *stałe* a wmiarę zwiększania się koła czytelników, a nadewszystko w miarę wciągania w koło to warstw mniej oświeconych, (które w początkach korzystałyby z czytelni *bezpłatnie*) i składki rzeczone, obowiązując coraz większą liczbę indywiduów, mogłyby ulegać ciągłemu już zniżaniu. Niepotrzebujemy tu dodawać, że tak do założycieli małomiejskich czytelni jak i do korzystających z nich następnie, należećby mogli zarówno mieszkańcy miasta jak i okolicznych wiosek.

Pozostaje nareszcie kwestyja zarządu czytelni. W rzeczy samej kwestyja to względnie do znaczenia i przewodniego zadania tego rodzaju zakładów, bodaj czy nie najważniejsza. Jeżeli bowiem czytelnie mają tu być jedynemi ogniskami miejscowo-umysłowego życia, to naturalnie i sam wewnętrzny ich układ odpowiednio trafnym i umiejętnym być musi. Musi mianowicie obejmować książki zarówno dla dorosłych jak i dla dzieci, a wszystko to przecież, ciążyćby musiało na moralnej odpowiedzialności zarządu. To też, zdaniem naszym, byłoby najwłaściwiej, gdyby z grona miejscowej inteligencyi utworzył się specyjalny w tym celu komitet, który tak administracyją jak i wewnętrzny układ czytelni wziąłby bezpośrednio na siebie.

Bądź co bądź zresztą, że czytelnie małomiasteczkowe dziś już istnieć i rozwijać się mogą dowodzi fakt wybitny i żywy, fakt istnienia czytelni *pińczowskiej*. Jeżeli zaś powstała tego rodzaju instytucyja *jedna*, to dlaczego niemogłyby powstać ich więcej? Dlaczego za przykładem Pińczowa nie mogłyby pójść wszystkie miejscowości podobne? Niech więc tylko takich propagatorów światła (jak np. pierwotny inicyjator czytelni pińczowskiej — p. Wiszniewski) znajdzie się więcej, — niech raczej cały ogół prowincyjonalnej inteligencyi weźmie tu czynny i bezpośredni udział a czytelnie małomiasteczkowe powstawszy wszędzie, —wszędzie dobroczynne swe następstwa szerzyć i uwydatniać będą.

J. Jel......

BEZ OPIEKI

SZKIC POWIEŚCIOWY,

napisała

Maryja Szeliga.

(Ciąg dalszy).

— Emilija przestała być dzieckiem! — wyrzekł pan Makary uroczyście, bez żadnych oznak gniewu. Napróżno dziewczyna łamała sobie nad powodem tej uwagi główkę—z spokojnej fizyjognomii wuja nic nie mogła wyczytać —tylko bystrość wejrzenia pana Makarego, wpatrującego się w nią uporczywie, kłopotała ją niewymownie.—Po śniadaniu, czekała ją jeszcze większa niespodzianka, bo wuj Makary, zamiast jak zwykle dotknąć ustami jej czoła, pocałował ją w rękę!

Nawet babcia miała minę zdziwionej, lecz nie wyrzekła ani słowa. Emilka wróciła do swego pokoiku, mając myśl przepełnioną niezwykłemi wrażeniami tych paru dni. — Czuła, że wchodzi w jakąś nową, a niesłychanie przyjemną fazę życia. Usiadła pod oknem i dumała—twarzyczka lalkowata pana Albina, zjawiała się przed nią często—aż nagle drgnęła! bo otóż cała jego osoba przechodziła w tej chwili przez ulicę i wyraźnie patrzył w górę, ku oknu pierwszego piętra! — Dziewczyna zarumieniła się znów gwałtownie, serce jej biło i szepnęła sobie, kryjąc w dłonie lice, że Leonka ma słuszność... on ją kocha — i ona jego... kocha!... bo czemuż jej tak miło go widzieć, i serce czemu tak silnie bije!...

Emilka uklękła i zaczęła się modlić gorąco —łzy płynęły z jej oczu — wzywała wstawienictwa matki, aby ta, jak mniemała, miłość— była dla nich obojga szczęśliwą! Aby gdy on skończy uniwersytet, ona pansyją, mogli się pobrać, jak Józio z Leonką!...

Jeśli w tej modlitwie nie było podniosłej myśli — za to była taka święta niewinność, że dziwić się można, czemu takie modły nigdy nie przenikną w nieznane wyżyny, nie przeważą niezbłaganych przechyleń szali losów!

Emilka od dziś, straciła pustotę w obejściu, stała się poważniejszą, nieco zamyśloną, z czym jej było prześlicznie. Wuj Makary patrzył na nią coraz uważniej, i niezmiennie po każdym śniadaniu, obiedzie, i na dobranoc, całował ją w rękę. Po upływie kilku miesięcy przestała na to zwracać uwagę.

Nakoniec nadszedł dzień tak ważny w życiu kobiet teraźniejszych — Emilka skończyła pensyją, miała już upragnione piętnaście lat, i trzydziestego czerwca, za pieniądze które odbierała od doktora corocznie, jako procent od kapitaliku, zużywany dotąd przez nią, na książki i kajeta—teraz kupiła sobie w magazynie— *długą suknię*, w którą się na przyjęcie siostry i Leonki ubrała, drżąc z radości na tę oznakę jej dorosłego wieku. Babka pokręciła głową na jej strój, lecz ofiarowała wiązanie, mały pierścionek z niezapominajką turkusową, a wuj Makary, przyniósł piękny bukiet, który jej wręczył, przy nadzwyczajnym ucałowaniu rączek. Emilka przejrzała się w lustrze: była wysoką, smukłą, kompletnie rozwiniętą i ładną dziewczyną; widziała to sama — i uśmiechnęła się do siebie radośnie. Wszystko jej się wydało jakby przeczuwaną niespodzianką, mającą się niedługo spełnić—i przeczucie ją pod jednym względem niezawiodło: bo Leonka uściskawszy ją na powitanie, wyjęła potym z kieszeni nuty, związane różową wstążeczką i z tajemniczym uśmiechem wręczyła je solenizantce, która się zarumieniła z radości — bo poznała ów walc kompozycyi pana Albina, domyśliła się od kogo dar pochodzi, a nakoniec na tytule wyczytała swoję imię! Ah! jakież błogie uczucia ogarnęły duszę Emilki!

Mimo nielicznego zebrania, wesoło przeszedł ów wieczór trzem panienkom — nawet blada i nieśmiała Lucynka, ożywiła się trochę i należała do żywej rozmowy, pełnej planów na przyszłość, nadziei, zadowolenia! Nie przyznała się tylko, czy jej serce jest równie przepełnione jak siostry i jej przyjaciółki. Gdy panienki szeptały swoje zwierzenia — ona spuściła główkę, milcząc. To też „dorosła panna“ wyrzekła uroczyście, że Lucia jest jeszcze zupełnym dzieckiem!

— Jaki też śmieszny ten twój wujaszek Ma-

---

niec prasa temu winna, gdy podług życzenia ustawy przedsiębierstwo dla kilku pewnych potentatów finansowych byłoby arcydogodną a dla ogółu pojedyńczych mniejszych a niedopuszczonych do głosu akcyjonaryjuszów, arcy-niedogodną rzeczą, przeto gdy ogół ten, na *niedogodności takiej* poznał się dość wcześnie i udziału swego w nabywaniu akcyj odmówił — co, pytamy się, temu wszystkiemu, winna jest prasa? Lecz wracając do samego lombardu, niechcemy przypuszczać, by myśl założenia w Warszawie instytucyi podobnej miała spełznąć na niczym. Przeciwnie, wolimy wierzyć że panowie założyciele, poznawszy tak własne swoje pomyłki... pod względem przystępowania do rzeczy, jak i postarawszy się o sprostowanie *pewnych* a w swoim czasie publicznie wykazywanych wadliwości ustawy, myśli tej, nie pozwolą bądź co bądź przenieść się bez powrotnie w sferę... nieziszczonych projektów.

* * *

Gdy atoli jedne z przedsiebierstw ogólniejszego zakroju, umierają w samym prawie poczęciu, inne natomiast usiłują się..., narodzić, a do takich właśnie należy mający się zjawić (sposobem spółkowym) *Hotel zdrowia* w Warszawie. Chorzy w zakładzie tym mają znaleść na różne ceny lokale, jak również poradę stałych lekarzy miejscowych, pomoc felczerską, lekarstwa, odpowiednie pożywienie i usługę. Będzie to więc coś bardzo zbliżonego do... szpitala. Że zaś szpitali dobrze urządzonych nie brakuje przecież w *Warszawie* i lekarzy znaleść już dziś można co najmniej po kilku w każdej dzielnicy miasta, przeto pozwolimy sobie wątpić czy zakład podobny, w obec konkurencyi szpitali warszawskich, ma istotną racyją bytu. W każdym zaś razie, zdaje nam się, że zakłady te, potworzone w znaczniejszych, dajmy na to, gubernijalnych miastach na prowincyi, gdzie większa częś szpitali w ostatecznym jest zaniedbaniu, gdzie przeto ów znany wstręt publiczności do szpitali ma się na czym opierać, gdzie nadto lekarza trzeba nieraz szukać z latarnią Dyjogenesa, że w takich, powtórzymy zakładane warunkach „Hotele zdrowia“ miałyby odnośnie do swego powodzenia jak i do publicznego pożytku nierównie pewniejsze szanse.

* * *

Ktoby to pomyślał że w Warszawie naszej, w naszym głównym ognisku umysłowych stosunków — nie znajdzie się miejsca na odczyty i co ważniejsza na odczyty *dla rzemieślników*. A jednak, tak jest w istocie. Z chwilą rozebrania szopy zwanej teatrem Rappo — odczyty te zacieśniają sie w skromnej salce Towarzystwa Dobroczyności, zacieśniają się naturalnie z niemałą stratą, całych szeregów dlaknących światła nauki i zdrowej pożywnej wiedzy. To też, w obec takich okoliczności zasługuje ze wszech miar na poparcie i... urzeczywistnienie projekt „Gazety Rzemieślniczej“ pomieszczony w N-rze 9 tego pisma. Jak wiadomo zapewne już czytelnikom, komitet, mającej odbyć się w roku bieżącym w Warszawie, wystawy rolniczej, odniósł się do wszystkich tutejszych fabrykantów i właścicieli przemysłowych zakładów, aby ci dla pomieszczenia nadsyłanych przez siebie a kwalifikujących się na wystawę wyrobów, wznieśli własnym kosztem oddzielny, albo też jeden wspólny pawilon. Otóż Gazeta Rzemieślnicza stawia tu nader prosty i jasny wniosek, że pawilon taki przeniesiony po skończonej wystawie na odpowiednie miejsce posłużyćby mógł nietylko na salę odczytową lecz i na projektowane już od dawna muzeum przemysłowe. Na utrzymanie budynku takiego jak twierdzi Gazeta Rzemieślnicza znalazłby się i odpowiedni fundusz, stanowiłaby go zaś opłata tak za wynajmowanie sali, jak i za zwiedzanie muzeum. Pomysł to więc jak widzimy oile prosty o tyle praktyczny, niewymagający zbytecznych wysiłków i... ofiar. Urzeczywistnienie jego jednak warunkuje się

kary!—rzekła w ciągu wieczerzy Leonka półgłosem do przyjaciółki.

Emilka mimo małej dozy złośliwości—miała dobre serce—i choć się sama nieraz śmiała z swej rodziny, dziś jednak uczuła lekki wyrzut sumienia, i odparła równie cicho:

— To jest jednak bardzo zacny człowiek!

Traf zrządził, że wuj Makery, nie zabawiał już wtedy rozmową Luci — i posłyszał zdanie siostrzenicy. Martwa jego fizyjognomija nabrała wyrazu, jak posąg nagle ożywiony, uśmiechnął się, po raz pierwszy może od lat kilku i rzekł dobitnie.

— Emilija już jest naprawdę dorosłą panną!

— Wiemy o tym dobrze! — powiedziała śmiejąc się Leonka — od dziś, wszystkie trzy jesteśmy dorosłemi pannami!

— Dorosłość zależy od rozwinięcia fizycznego i moralnego! Gruntowny sąd rzeczy, równie dowodzi dojrzałości umysłu, jak sformowane kształty powierzchowne! — ciągnął pan Makary, z nieustraszoną powagą.

Leonka stłumiła wybuch śmiechu. Emilka się zarumieniła, a Lucia nie podniosła oczu od filiżanki z herbatą.

— I cóż droga! — rzekła przy pożegnaniu przyjaciołka Emilki do niej samej — czy nie dasz nic wzamian za nuty?

— Podziękowanie—szepnęła dziewczyna.

— O! to za mało! Daj tę różę, powiem, że cały wieczór spoczywała w twoich włosach! Miej-że wzgląd na biedaka, który od owego wieczoru zapomnieć cię nie może! — mówiła usłużna pośredniczka wyjmując kwiatek, czego jej naturalnie nie wzbroniono.

Emilka rzuciła jej się na szyję, i całowała ją z uniesieniem.—O! nic nigdy, nie rozerwie naszej przyjaźni! Jako dzieci zawiązałyśmy przymierze święte—powtórzmy je teraz — na wieki!

— Przysięgam!—rzekła Leonka podnosząc rękę do góry. I uściskały się znowu.—Pozwolisz mi ucałować Albina, gdy go spotkam w domu! a pewnie będzie czekał na mój powrót, aby się dowiedzieć coś o tobie. Zrobię tę ofiarę i po raz pierwszy, pocałuję mego kuzynka, aby wam tego uroczystego dnia, sprawić przyjemność. Będzie to rodzaj mistycznych ślubów! — szaptała Leonka z uśmiechem całując w usta rozrumienioną Emilcię.

— Bądź naszą białą gołąbką — odparła cicho kryjąc swe lice na jej ramieniu.

— Poniosę mu w dziobku różę, i... całusa!— rzekła przyjaciółka gorąco.

Lucia patrzyła i słuchała, nieco wystraszona. Jej piękne niebieskie oczy wyrażały głębokie zdziwienie i zadumę.

Jestem zupełnie szczęśliwa!—myślała Emilka powróciwszy do swego pokoiku, patrząc w lustro odbijające jej ładną buzię i długą, modną suknię. Mam wykształcenie, trochę urody—przyjaźń świętą, której nic nie zerwie i nie zmieni—kocham... i mnie kochają!... Ach! nic nie chcę więcej! Mój Boże! jak jesteś dobry! że mi tyle szczęścia dałeś w życiu!

Podczas tego rozmyślania Emilki, którego treść przytoczyliśmy—w salonie, działo się coś niepraktykowanego. Oto, mimo dziesiątej wieczornej godziny, która stanowiła nieodmiennie chwilę spoczynku, dla całego domu, babcia siedziała jeszcze w fotelu, a pan Makary stał przed nią i mówił powoli.

— Otóż, powziąłem to postanowienie, po głębokiej rozwadze. Małżeństwo, kojarzone przez matkę, rozeszło się, w sposób dla mnie przykry — sędzianka naraziła mnie na śmieszność, i zniechęciła do kobiet wogóle tak, żem był, i czas jakiś pewien, iż się nigdy nie ożenię. Ale źle jest człowiekowi żyć samemu, mówi pismo święte! serce moje, dotąd nie czułe, bo nawet do sędzianki, tylko namowy matki mię pociągnęły! serce to, przywiązało się nad wszelkie spodziewanie do tej pięknej, dobrej, i rozumnej osoby! — jednym słowem: pragnę zaślubić Emiliję!...

— Mój Makary!—odparła babka z mocą— nie udało mi się wyswatać cię raz, więc nie mam prawa tutaj się odzywać! Uważam Emilkę za przewróconą trochę głowę, i przytym jest biedna, posagu ani grosza—no! ale ci bronić nie będę. Tylko robię uwagę, żebyś przynajmniej jaki rok pczekał?

— Nie oznajmując mojego zamiaru?

— Nie wspominając ani słówka!

— Dobrze! Na to przystać mogę. Po roku zaś, przyjmie ją matka, jako swoję synowę?

— Jeśli taka wola Boża!— zastrzegła sobie babka. Syn pożegnał ją na dobranoc i rada familijna była zakończoną. O woli dziewczęcia nie myśleli wcale — byli pewni, że nie odmówi zaszczytu przyjęcia ręki wuja. Ani przeczuwała tego Emilka, zasypiając z marzeniem roskosznej przyszłości, w której Albinek figurował oczywiście, jako główny bohater, a na babcię i wuja, nawet nie było miejsca w różowym tym obrazku snów dziewiczych.

Musimy też wyznać na cześć przyjaźni, że Leonka skrupulatnie dopełniła przyrzeczenia. Wróciwszy, istotnie zastała jeszcze Albinka, który wybiegł nawet sam jej drzwi otworzyć. Kuzynka pociągnęła go do swego pokoiku i kazała mu siąść obok siebie na kanapce. Księżyc świecił w prawdzie, ale zasłaniały go wysokie naprzeciw stojące domy — lecz za to światło latarni, czyniło w pokoju pół cień lekki, nadzwyczaj miłą i niemroczną szarą godzinę. Leonka poprawiła fałdy swojej białej, długiej także sukni — dobyła różę z kieszonki i—westchnęła.

— Oddałaś nuty?!—pytał młodzieniec żywo.

— Naturalnie!—kazała podziękować—i...

— I co?...

— Patrz, jaka piękna róża!

— Zwiędła trochę! — powiedział niedbale Albinek.

— Niewdzięczny! czy wiesz skąd ją wyjęłam?

— Z kieszeni kuzynko!

— Eh! z warkocza Emilki! — szepnęła pochylając się nieco bliżej.

— Doprawdy i to dla mnie!

— Tak! ale to nie dosyć!...

— O droga Leonko! cóż więcej? — pytał uszczęśliwiony młodzieniec.

— Pamiętaj — że przy kimś, w salonie, powinniśmy się zwać tylko, *kuzynami*, jużeśmy nie dziećmi! — zauważyła roztropnie dzieweczka.

— Dobrze! lecz co więcej dla mnie?—pytał Albinek prosząco.

— Kiedy mię to wielkiego nabawia kłopotu...

— Dlaczego?

— Bo, bo, widzisz—ciągnęła powoli — odchodząc, pocałowałyśmy się jak zwykle z Emilcią w usta same... i ona mówiła... nie! ja tego przecież wypełnić nie mogę! myśmy się nigdy nie całowali z sobą!—rzekła stanowczo.

— Oh! ale mnie się dziś należy—wszak pewnie obiecałaś?—zawołał kuzynek.

— No, tak, ale...

— W takim razie — tu Albinek ujął rączki skrupulatnej kuzynki, tak, że mu się bronić nie mogła, i okolone złotawym meszkiem wargi, złożył na jej w półotwartych usteczkach. Pośrednictwo było spełnione.

— Mama idzie! — szepnęła w kilka minut

---

pytaniem,.... albo raczej odpowiedzią na pytanie; czy fabrykanci i przemysłowcy nasi zdobędą się na ów pawilon lub nie? to jest czy przyjmą lub nie,—udział w przyszłej ekspozycyi. Jakkolwiek trudno co do tego przesądzać, to jednak trudno również przypuścić by panowie ci dla niewielkich stosunkowo kosztów, mieli zrzec się rozgłosu firmy, zwiększenia na swe wyroby zamówień, pozyskania nowych dróg zbytu i osiągnięcia, słowem tych wszystkich korzyści jakie każda tego rodzaju wystawa producentom zapewnia. Jeżeli więc panowie fabrykanci i przemysłowcy rozumieją interes własny, to naturalnie pawilon pobudują: jeżeli zaś będzie pawilon, to będziemy nareszcie mieć miejsce i na 10-cio groszowe odczyty.

* * *

Pani A. M. w „Niwie“ wskazuje naglącą potrzebę utworzenia w Warszawie *szkoły dla służących* (mianowicie dla pokojówek, młodszych i t. p.). Lekcyje w szkole takiej podług zdania pani A. M. powinnyby się odbywać najmniej raz w tydzień (w niedzielę) jeżeli nie w każde święto, Prócz wykładu religii i języka polskiego możnaby tam uczyć systematycznie czterech działań arytmetycznych, oraz udzielać „skąpych choćby wiadomości z nauk przyrodniczych“. „Nieszczęśliwe te istoty (t.j. służące)“ nadmienia wnioskodawczyni, możnaby porównać *do paryjów* swojego rodzaju do tego stopnia lekceważymy w nich uczucia i potrzebę pewnego rozwoju umysłowego; brak wszelkiej oświaty u służących powoduje zacieranie się szlachetniejszych natury ludzkiej popędów i wyrządza nam wszystkim niepowetowaną nieraz szkodę“.Że pani A. M. ma najzupełniejszą słuszność a projekt jej godzien jest istotnego poparcia, rzecz to sama przez się jasna. Skargi bowiem na służące coraz głośniej i ustawicznie się szerzą a kwestyja sama nie postąpiła, jak dotychczas ani krokiem naprzód i dla całej klasy upośledzonych moralnie tych istot, nic nie zrobiono. Niedość jednakże samych, choćby zresztą najsłuszniejszych wniosków. Jeżeli gdzie, to tu nadewszystko, potrzeba działalności *praktycznej*. To też podnosząc projekt pani A. M., życzylibyśmy bardzo, by sama autorka jego nie zadawalając się „rzuceniem myśli“ jak znów z drugiej strony odczuwając widocznie niedolę klasy, za którą tak gorąco przemawia, przy pomocy swych znajomych (które zawsze zapewne znajdzie) pań innych, wzięła się *czynnie* do dzieła. Panie nasze najwięcej na służące skarg głoszą, panie, bądźmy szczerzy, są tu najwięcej winne jako najbliżej interesowane, panie więc *same*, z własnego popędu i szczerej, nie zaś jak to zwykle bywa, chwilowo rozrywkowej inicyjatywy niech raz nareszcie rozpoczną tu coś *robić*.

* * *

Jak wiadomo, istnieją u nas, zarówno w Warszawie jak i po miastach oraz miasteczkach prowincyjonalnych, tak zwane szkoły *niedzielno-rzemieślnicze*. Są to, jak obecnie przynajmniej, dla młodzieży tej kategoryi, jedyne źródła czerpania nauki, jedyne środki oświecania tych młodocianych umysłów. Niestety jednak, jeżeli w Warszawie szkoły te podczas niedzielnych lekcyj świecą najczęściej pustkami, jeżeli dzięki zacofanemu usposobieniu większości panów majstrów młodzież terminatorska z zakładów tego rodzaju nie korzysta zbyt wiele, to tym gorzej rzecz ta przedstawia się na prowincyi. Tu już szkoły niedzielne są... jakby ich nie było wcale. W tych dniach np. (w miasteczku Ł.) mieliśmy sposobność być na jednej z takich lekcyj niedzielnych. Nauczyciel miejscowy otwiera podwoje niedzielnego przybytku wiedzy, zasiada w swym oratorskim krześle i... czeka... Po godzinie przeszło zjawia się dwu, w godzinę zaś następnie przybywa trzech jeszcze uczniów i... na tym

Leonka, usiłując powstać szybko. Leniwe echo, snać teraz dopiero odezwało się z kąta, bo odgłos pocałunku znów zaszemrał w pokoju o szarej godzinie...

Emilka mogła być pewną wypełnienia obietnicy. Bodaj to mieć przyjaciółkę poświęconą całkowicie świętemu przymierzu! Nie wiem tylko, czy Emilka zgodziłaby się na uczynienie podobnej przysługi Leonce względem Józia— lecz na szczęście, prawdopodobnie nie zaszłaby tego potrzeba, bo Leonka go kochała czysto platonicznie, i nie można by ręczyć, czy Józio miał świadomość swego szczęścia. Wopowiadaniu jakie przyjaciółka zrobiła Emilce,— żywa jej wyobraźnia dodawała szkicom kolorytu. Zresztą, wierzyła, że choć między niemi stosunki były dość dalekie, mogły się jednak stać takiemi, jak je wystawiła Emilce, zachęcając do naśladownictwa. W głębi serca — może raczej pragnęła ona wzoru—lecz jej przybrana siostrzyczka nie wiedziała o tym.

Albinek idąc przez ulicę, miał sam z sobą następującą rozprawę:

— Emilka—prześliczna! Kocham się w niej niezawodnie! Leonka jednak, ma coś niesłychanie wabnego. Co to za miła dziewczyna! a jakie serce poczciwe! Doprawdy, nie gniewam się, że mam taką pośredniczkę, bo czuję, że z równą przyjemnością ucałowałbym obie!

— Gdyby jednak—myślała sobie przed zaśnięciem Leonka — ten biedny Albinek *zadurzył* się we mnie?! Wyznaję, że byłoby mi to nieskończenie boleśnie... takie powikłanie... tu przyjaźń, tu miłość... wreszcie Józio podoba mi się rzeczywiście i... Albinek jest milutki... i...

Tu Morfeusz niedyskretnie przerwał najciekawszą konkluzyją monologu.

Swieżo dorosła panna Emilija, po kilku dniach uciechy samej z sobą, czuła się fatalnie znużoną. Całe dnie musiała być w domu, godziny się wlokły pomału, monotonne życie drażniło ją, a brak ruchu, nawet zaszkodził zdrowiu. Głowa ją bolała, gwałtownej naturze dziewczyny, zamało było marzeń ciągłych; serce coraz niespokojniej tłukące się po klatce piersiowej, pragnęło raczej dobitniejszych *wrażeń!*

— Ah! moja babciu!—powtarzała ziewając co pięć minut Emilka, jak mnie się nudzi okropnie!

— Zajmij się czym! — odpowiadała babka jednostajnie.

— Ale czym? — Emilka zaczęła piętnaście robótek, i rzuciła je nieskończone; zasiadała do fortepijanu, i wstawała ziewnąwszy szeroko. Książki najwięcej ją bawiły—ale szczupła biblijoteczka wuja Makarego, nie mogła jej zadowolić. Często siadała przy oknie, patrząc z żalem na ulice pełne przechodniów, i snuła rozmaite wnioski, powieści, nakoniec projekta.

— Czyż ja królewna zaklęta — rzekła raz do siebie, abym czekała rychło mię wyzwoli królewicz spod smoczej straży? Otóż nie! ja chcę żyć! ja obumieram z każdą chwilą! Chora jestem! Pójdę się poradzić!

I szybko, gorączkowo, porwała kapelusik, wciągnęła rękawiczki i nie mówiąc nic nikomu, wybiegła na ulicę. *(D. c. n.)*

KREW i JEJ KRĄŻENIE W CIELE LUDZKIM.

(Dalszy ciąg).

II.

Dla podtrzymania życia potrzeba ażeby straty jakie organizm ciągle ponosi, były wynagrodzone, ażeby cząstki zużyte były wciąż zastępowane przez cząstki świeże, zdolne znowu wywołać w organizmie te zjawiska, jakie s p r a w a m i ż y c i o w e m i nazywamy. Słowem w świecie istot żyjących panuje to wszechwładne prawo, że *aby żyć trzeba się odżywiać.* Prawo to panuje zarówno w świecie roślinnym jak i zwierzęcym i dotyczy każdego osobnika bez względu na stopień jego rozwoju. Każda istota podlegająca prawom materyi organicznej, podtrzymuje swoje istnienie przez ciągłą i nieustanną wymianę ze światem zewnętrznym, otrzymując od niego i zwracając mu wszelkie składowe części swojego organizmu. Sposób w jaki się ta wymiana odbywa, środki do jej wypełnienia służące są bardzo różnorodne, ale cel ostateczny zawsze jednakowy: *życie.* Środków do odżywiania się zarówno dla królestwa zwierzęcego jak i roślinnego dostarcza ziemia z otaczającą ją powietrznią (atmosferą). Swiat jednak roślinny czerpie dla siebie bezpośrednio z ziemi i powietrza pokarm w stanie zdolnym do odżywiania organizmu nieulegając żadnej poprzednio zmianie. Tymczasem w świecie zwierzęcym rzecz się ma zupełnie inaczej. Organizmy zwierzęce przyjmują pokarm w stanie zdolnym do odżywienia organizmu. Dla tej to właśnie przyczyny organizmy zwierzęce (z wyjątkiem t. z. p i e r w o t w o r ó w) posiadają w swoim ustroju oddzielny system organów służących ku temu, ażeby przyjęte z zewnątrz pożywienie zamienić na rzeczywisty pokarm. Takim właśnie przekształconym a rzeczywistym pokarmem dla organizmu zwierzęcego jest krew. Słowem krew, to pożywienie. Przypuśćmy teraz że mamy już krew gotową. W jakiż sposób wypełnia ona swoje zadanie, jak dosięga ona każdej najmniejszej cząstki naszego organizmu, ażeby dostarczyć im takiego pożywienia, jakiego te ostatnie potrzebują? W tym względzie organizm pojedyńczego człowieka zupełnie się różni od organizmu społecznego, z którym tak często lubimy go porównywać. Między ludźmi dzieje się zwykle tak, że każden potrzebujący idzie sam do piekarza po bułki, do jatek po mięso i t. d. W organizmie naszym jest wręcz przeciwnie. Tu nie organa przychodzą do jakiegoś hurtowego składu materyjałów spożywczych, ale odwrotnie skład ten, magazyn—własnym kosztem dostarcza każdemu kontmanowi to, czego ten potrzebuje. Nie na tym się jeszcze kończą jego zasługi, zabiera każdemu ze swoich kontmanów to co się mu nadpsuło, zbiera to wszystko razem i po dokonanej gdzieindziej przeróbce napowrót odsyła. Oto jest obraz k r ą ż e n i a k r w i. Hurtowym tym magazynem materyjałów spożywczych dla naszego organizmu jest s e r c e, a drogami któremi ono dostarcza wszystkim organom pożywienie, jest tak zwany u k ł a d k r w i o n o ś n y. Z podanego tylko co obrazu krążenia krwi, łatwo bardzo możemy się domyśleć, że inne są drogi dla dostarczania pożywnej krwi inne dla zabierania zużytej. Rzeczywiście różne są drogi przypływu krwi świeżej i odpływu krwi niezdolnej do odżywiania i zawierającej już zużyte cząstki. Oprócz różnego kierunku biegu krwi po nich, różnią się one jeszcze, jak się to samo przez się rozumie i jakością krwi po nich płynącej, a wkońcu swim przebiegiem po organizmie, liczbą a nawet budową. Drogi prowadzące krew świeżą do organów nazywamy *tętnicami*, a drogi odprowadzające krew zużytą *żyłami.* Jak jedne tak i drugie są to rurki błoniaste, drzewiasto się rozgałęziające po całym organizmie. Drzewiasto powiedzieliśmy, bo mamy gruby pień, który się dzieli na mniejsze gałęzie, te na mniejsze jeszcze gałązki, a te na jeszcze

---

koniec. Jeżeli zaś teraz dowiemy się, że zapisanych do szkoły tej jest 45, to przyznamy zapewne, że stosunek uczących się do *mających się uczyć*, nie pocieszający bynajmniej. Okoliczność ta jest tym smutniejszą, że jak nam opowiadał nauczyciel, miejscowi panowie majstrowie, mimo systematycznie i stale już niejako regulowanych do nich kar pieniężnych, ani słyszeć nie chcą o szkole. Naturalnie w takim razie, o praktyczną jakąś radę nie łatwo i pozostaje chyba jedynie bezpośredni wpływ miejscowej inteligencyi,—wpływ, który *przy odpowiednim użyciu* i skierowaniu mógłby i w tym kierunku okazać się... zbawiennym.

* * *

Wśród powodzi różnego rodzaju koncertów, jakie w porze obecnej zazwyczaj *nawiedzają* naszę muzykalną Warszawę, uwydatnia się najsympatyczniej odbyty w dniu 14 b. m. koncert na dochód niezamożnych studentów. Sam już cel szczytny, cel przyjścia z *należną*, obywatelską pomocą naszej uniwersyteckiej młodzieży, koncert ten wyróżniał i zalecał spomiędzy wielu innych tego rodzaju uprzyjemnień postnych. Jeżeli zaś z celem tym zestawimy nadto bogaty i urozmaicony program, w wykonaniu którego przyjęli udział nasi pierwszorzędni artyści, to naturalnie nie zdziwimy się wcale, że koncert rzeczony powiódł się tak, jak się powieść powinien, to jest stosunkowo *najpomyślniej.*

* * *

Powiódł się też niemniej, tak pod względem *liczby słuchaczy* jak i sposobu wykładu i niedzielny odczyt dla rzemieślników pana Kossutha: „Czym się zajmuje mechanika“. Prelegent, na trafnie obranym tle pogadanki dwu rzemieślników wyłożył słuchaczom w sposób prawdziwie jasny i przystępny, co to jest ciało, siła, i t. d., odkładając, dla braku czasu, dalszy wykład objaśniający właściwie: „czym się zajmuje mechanika“ do następnej lekcyi. Mówiąc o odczytach rzemieślniczych, jedna nasuwa się nam tu uwaga, a raczej jedno maleńkie pytanie. Mianowicie, czyby niektórzy z tutejszych panów—odczytowych krytyków, zamiast obliczania ile razy prelegent się „zaciął“ a co im „nieszczególnie się wydało“ czyby powtórzymy, panowie ci, nie zechcieli wniknąć bliżej *w sam cel przewodni i zadanie* tego, *w szczególności*, rodzaju odczytów, a to może powstrzymałoby ich od zbyt dowolnego wyrażania swych niezawsze kompetentnych sądów, a tym samym od zniechęcenia ludzi pragnących służyć sprawie jednej z najważniejszych, i dla ogółu... najdroższych—bo sprawie szerzenia oświaty w masach.

* * *

Redakcyja „Bluszczu“ ogłosiła konkurs na napisanie dzieła p. t. „O wychowaniu macierzyńskim“. Temat to jak widzimy, i ważny i doniosły, oby tylko opracowanie krępowane poniekąd postawionemi, co do główwnej treści, wymaganiami ze strony redakcyi, nie zostało zwichniętym i względnie do *dzisiejszych* pojęć pedagogicznych, chybionym.

Rozmiar książki jest dowolny. Rękopismy powinny być nadsyłane najpóźniej do dnia 1-go kwietnia 1875 roku pod adresem księgarni Michała Glücksberga w Warszawie. Autor dzieła uznanego za najlepsze, otrzyma od wydawcy „Bluszczu“ sumę rsr. 200 i pozostanie właścicielem rękopismu, w którego nabyciu redakcyja „Bluszczu“ zastrzega sobie pierwszeństwo. Nazwiska sędziów ogłoszone zostaną publicznie w dniu zamknięcia konkursu.

---

ją pokarm przeważnie wstanie stałym i zmięszany z częściami niemogącemi dla nich przynieść żadnego pożytku. Potrzeba więc ten pokarm poprzednio zmienić, ażeby mógł odpowiedzieć swemu przeznaczeniu t. j. ażeby były mniejsze gałązeczki i t. d. Różnica pod tym względem między tętnicami a żyłami zależy na tym że grube pnie i gałęzie w układzie tętniczym są początkiem ich przebiegu, a w układzie żylnym zakończeniem t. j. że w układzie tętniczym pień dzieli się na gałązki, a w układzie żylnym gałązki zbierają się w grubsze pnie, co zresztą jest bardzo zrozumiałe, gdyż w tętnicach bieży krew z serca, a w żyłach do serca. Tętnice różnią się od żył stosunkowo większą grubością swoich ścianek i większą ich elastycznością. Jeżeli przetniemy tętnicę i wypuścimy z niej krew, to zawsze jednak zachowa ona swoje kształty, kiedy tymczasem żyły wnet się marszczą i opadają. Nadto jeszcze żyły różnią się tym od tętnic, że zapatrzone są w zastawki, zamykające zupełnie światło naczynia. Są to przedłużenia błoniaste wewnętrznej ścianki samych żył. Otwierają się one w kierunku przebiegu krwi t. j. do serca. O znaczeniu ich pomówimy przy krążeniu krwi. W końcu tętnica i żyły, jak już powiedzieliśmy, różnią się i jasnością krwi w nich zawartej. Nawet z powierzchowności łatwo możemy odróżnić krew tętniczą od żylnej. Pierwsza jest jasno-czerwonego koloru, a żylna ciemno-czerwonego. Odczego zależy ta rozmaitość barwy? Od różnicy stosunku składowych części w jednej i drugiej. Różnica ta dotyczy bardzo mało stałych i płynnych części składowych krwi, a zasadza się głównie na różnicy ilości gazów. I tak na 100 objętości gazów zawartych we krwi znajdziemy.

	Końska krew		Cielęca krew.	
	Tętnicza	Żylna	Tętnicza	Żylna
Kwasu węglan.	55,1%	72,1%	64,7	76,7
Tlenu	24,3%	15,8%	27,1	16.6
Azotu	20,6%	12,1%	8,2%	6,7%

Z liczb tych widzimy, że krew tętnicza zawiera stosunkowo mniej kwasu węglanego, a więcej tlenu, krew żylna zaś odwrotnie więcej kwasu węglanego a mniej tlenu. Otóż ta właśnie stosunkowa przewaga tlenu w krwi tętniczej nadaje jej tę żywszą, jaśniejszą barwę jaką się różni od krwi żylnej, której także ciemny kolor przypisujemy stosunkowej w niej przewadze kwasu węglanego czyli ściślej mówiąc brakowi tlenu. To jednak bardzo mało tłómaczy przyczynę różnicy krwi żylnej i tętniczej. Niedawnemi czasy tłomaczono to tym, żo żelazo pod wpływem tlenu staje się przyczyną czerwonej krwi barwy, obecnie jednak zaniechano tego tłómaczenia a natomiast mniemają że kolor krwi zależy od kształtu ciałek, które na skutek rozmaitego sposobu załamywanie się światła, stają się jaśniejszemi, jeżeli są więcej wklęsłe, a ciemniejszemi, jeżeli są więcej wypukłe. A właśnie kwas węglany czyni ich wypuklejszemi a tlen więcej wklęsłemi.

Skądże się bierze ten tlen i kwas węglany i czym się to dzieje, że w krwi tętniczej stosunkowo więcej tlenu a w krwi żylnej kwasu węglanego?

Wiemy już że jest krew tętnicza - żylna, wiemy jaka jest między niemi różnica i odczego ta różnica zależy, wiemy w końcu że tętnice wychodzą z serca a żyły wlewają się do serca należy nam teraz rozpatrzeć jak się odbywa ten mechanizm krążenia krwi, to wahanie się między istnieniem i nieistnieniem. Głównym jakkolwiek nie jedynym czynnikiem krążenia krwi, wywierającym na nią ciśnienie, wpychającym ją w najdrobniejsze nawet gałązeczki naczyń, jest serce. To też musimy się wprzódy przypatrzeć budowie tego ciekawego organu. Niech Szanowne Czytelniczki przebaczą nam z góry za to proizaiczne opisanie owego serca, jakiego zmuszeni jesteśmy użyć, żywimy jednak to przekonanie, że po wykazaniu jego budowy i działalności powróci idealny pogląd tylko więcej uzasadniony i wpoważniejszych formach. Tymczasem należy nam wiedzieć, że serce jest to mięsień stożkowatej formy z jamami wewnątrz, wielkości rozmaitej u różnych osobników w każdym jednak razie większe o 1/6 część u mężczyzny niż u kobiety. Rozdziela się ono przez podłużną przegrodę na dwie połowy, prawą i lewą niemające między sobą żadnego bezpośredniego połączenia. Każda z tych połówek rozdziela się przez poprzeczną przegrodę na dwie części łączące się między sobą za pomocą szerokich otworów. Górna część każdej połówki serca nazywa się przedsionkiem, a dolna komórką. Mamy zatym dwa przedsionki prawy i lewy i dwie komórki prawą i lewą. Prawa połowa serca t. j. prawy przedsionek i prawa komórka są rezerwoarem krwi zużytej żylnej, lewa zaś połowa serca, krwi świeżej—tętnicy. Oprócz tego każdy przedsionek zarówno prawy jak i lewy, jest odbieralnikiem krwi płynącej do serca, każda komórka jest przeznaczona do wypychania krwi z serca. Serce jak już wiemy, łączy się z obydwoma układami krwionośnemi: tętniczym i żylnym, muszą być zatym w sercu otwory przez któreby się krew z żył wlewała i przez które by się wylewała do tętnic. I rzeczywiście w prawym przedsionku znajdujemy dwa duże otwory do grubych pni żylnych, (żyły główne górna i dolna) oprócz otworu łączącego ten przedsionek z odpowiednią komórką. W prawej komórce oprócz tego ostatniego otworu znajdujemy także otwór tętnicy płucnej prowadzącej krew do płuc, o czym pomówimy niżej. Lewy przedsionek przyjmuje w siebie cztery żyły niosące krew z płuc i łączy się z lewą komórką, z której bierze początek główny pień tętniczy, zwany aortą. Wszystkie te otwory zaopatrzone są w tak zwane zastawki które się odmykają w kierunku biegu krwi przez te otwory przechodzącej i zamykające się za tym w kierunku przeciwnym.

Przyjrzymy się teraz mechanizmowi krążenia krwi i drogom po jakich się ono odbywa. Weźmiemy za punkt wyjścia tę chwilę krążenia krwi, kiedy obydwa przedsionki są napełnione, a komórki zostają w stanie wypróżnienia. Otóż przedsionki obydwa wydęte wskutek napełnienia kurczą się jednocześnie, krew w nich zawarta znajdując się pod ciśnieniem siły ich skórczu sama ciśnie na zastawkę zamykającą otwór do odpowiedniej komórki roztwiera ją i wpada do odpowiednich komórek. Zastawki zaś w odpowiednich żyłach przeszkadzają powrotowi krwi do nich z przedsionków podczas skurczu tych ostatnich. Teraz zatym przedsionki są w stanie wypróżnienia a komórki w stanie wypełnienia. Następuje chwila rozszerzania się przedsionków a skurczu komórek. Krew zawarta w tych ostatnich pod wpływem ich skurczu, ciśnie na zasłonki i jedną z nich znajdującą się w otworze prowadzącym do odpowiedniego przedsionka zamyka, a drugą w otworze do odpowiednich tętnic odmyka i wlewa się takim sposobem do tych ostatnich. Jednocześnie do przedsionków znajdujących się w tej chwili w stanie rozkurczu, wlewa się krew żylna. Ale postępujmy z biegiem krwi i zacznijmy od tej która idzie z lewej komórki. Ta krew przy skurczu komórki otwiera sobie tak zwane zastawki półksiężycowe i dostaje się do szerokiego pnia tętniczego, zwanego aortą. Dla czegóż zapyta może czytelnik, krew niewraca zaraz do komórki? Wszakże i kamień wyrzucony w górę z pewną siłą, wraca przecież po niejakim czasie wskutek własnego ciężaru nazad na ziemię? Rzeczywiście i tu by to samo miało miejsce, gdyby nie owa zastawka przy wyjściu aorty. Krew wypchnięta z komórki do aorty wskutek własnego ciężaru opada, ale opadając zamyka sama tę zastawkę i dlatego też nie może się dostać napowrót do komórki a przeciwnie spotkawszy opór zmuszoną jest posuwać się do tej w pierwotnym swoim kierunku. Aorta na pewnej odległości od serca rozgałęzia się na kilka drugorzędnych pni, które zaopatrują w krew górną część ciała: głowę, ręce, szyję; sama zaś zstępuje na dół wzdłuż kręgosłupa bujnie się rozgałęzia w dolnej części ciała. W miarę oddalania się od serca, gałęzie dzielą się na coraz drobniejsze gałązki i gałązeczki, które wkońcu stają się tak cieniutkiemi że już nie możemy dojrzeć ich gołym okiem. Ostateczne rozgałęzienia, nazwane z powodu ich nadzwyczajnej cienkości *naczyniami włoskowatemi*, tworzą na powierzchni naszego ciała i we wszystkich organach nadzwyczajnie gęste sieci, gęstsze od najcieńszego tiulu, tak iż gdzie byśmy się tylko dotknęli igłą lub szpilką zawsze trafimy ostrzem na jedno z tych naczyń. Przez ścianki tych naczyń, które są również nadzwyczaj cieniutkie, na mocy dyffuzyi krew oddaje części pożywne organom, (tlen) w zamian zabiera od nich części zużyte (kwas węglany) i takim sposobem przestaje być tętniczą i przechodzi w żylną. Strumień krwi płynie dalej po żyłach które biorąc początek z naczyń włoskowatych zbierają się w coraz większe, grubsze gałęzie i pnie. Ostatecznie zbierają się w dwa grube pnie zwane żyłami głównemi górną i dolną, które wlewają się do prawego przedsionka. Przy ujściu tych żył do przedsionka, są jak wiemy zastawki, które się odmykają w kierunku od żył do przedsionka. Otóż krew zawarta w żyłach, wywierając ciśnienie na te zastawki otwiera je, tymbardziej że przedsionek będący w tej chwili w stanie wypróżnienia nie przeciwstawi temu żadnego oporu, a nawet czynnie się do tego przykłada. Nierównowaga bowiem ciśnienia na te zastawki ze strony wypełnionych żył i wypróżnionego przedsionka działa jak pompa ssąca. Tak więc krew wlewa się do przedsionka i napełnia go. Następuje chwila skurczu przedsionka, krew w nim zawarta pod wpływem tego skurczu zamyka własnym ciśnieniem zastawki w otworze prowadzącym do żył i uniemożebnia swój do nich powrót a natomiast odmyka zastawkę, zamykającą otwór prowadzący do prawej komórki gdzie się też i wlewa. Teraz zatym mamy chwilę wypróżnienia prawego przedsionka a napełnienia prawej komórki, wkórej jak widzimy zawiera się krew zużyta żylna. Wiemy zaś, że do odżywiania organizmu potrzebna jest krew świeża tętnicza. Skądże się zatym bierze ta krew świeża, tętnicza? Czy z krwi żylnej? Jeżeli tak, to gdzie następuje owa zamiana gazów i oddawania kwasu węglanego a przyjmowania tlenu? Co się wkońcu dzieje z kwasem węglanym i skąd się bierze tlen? Wymiana gazów uskutecznia się za pośrednictwem powietrza, wdychanego w płuca, do których z drugiej strony bieży krew z prawej komórki. Mamy więc krew w prawej komorce. Następuje chwila skurczu tej ostatniej, krew zamyka zastawkę w otworze do przedsionka, a zarazem odmyka takową w otworze do tętnicy płucnej, gdzie zostaje wepchniętą. Tu podobnież jak i w aorcie, zamyka zastawkę w komórce wskutek czego niemoże już do niej powrócić, a natomiast roznosi się po bardzo gęstej sieci naczyń krwionośnych w płucach, tu niemal bezpośrednio styka się z powietrzem, oddaje mu kwas węglany, który następnie wydychamy a natomiast zabiera tlen, stając się w ten sposób krwią tętniczą. Stąd powraca nazad do serca i zapomocą tak zwanych żył płucnych wlewa się do lewego przedsionka. Po napełnieniu następuje chwila skurczu tego ostatniego i krew zostaje wepchniętą do komórki le-

wej z której po Aorcie roznosi się po całym organizmie i t. d. *(D. c. n.)*

Z GALERYI

CHOROBLIWYCH TYPÓW SPÓŁCZESNYCH.

Kuzynka bawiąca przy familii.

(Dokończenie).

Dworek wiejski lub inne jakie zaciszne gniazdko bywa miejscem wyjścia w świat *bawiącej kuzynki*. Kwitnący ogródek, wesołe śpiewy, śmiech szczęścia, to jej pierwsze wspomnienia. Przez jasne okienka, zasłonięte robioną na krosienkach firanką spojrzała ona na świat boży i na dobrych ludzi; przez te okienka myśl jej jak włókno domowej kądzili wybiegła bujać po niadalekim świecie, po błoniach okrytych zbożem i kwiatem, po niebieskim przezroczu, albo w przyszłość.. Przyszłość prosta i miła jak piosenka. Młody, ładny, dzielny chłopiec zajedzie przed dom. Zacznie bywać, z początku jak gość, potym jak domowy przyjaciel, przynosząc kwiaty, przepisując wierszyki. Oświadczy się, rodzice go przyjmą, zjedzie się mnóstwo gości, Marynia (dajmy to imię naszej bohaterce) pójdzie z nim przed ołtarz w ładnym welonie i mirtowym wianeczku... Tu nareszcie rozpływa się w jakąś mgłę nieujętą. Marynia zaczęła tedy życie poematowym sposobem, rodzicom jej nie najlepiej się wiodło, ale któż myśli o rodzicielskich zmartwieniach w piętnastym roku życia, gdy w światku dziecinnym złożonym z kilkorga rodzeństwa, uśmiechają się coraz nowe uciechy?

Czasem co prawda, chusteczka Maryni namoknie gorzkiemi łzami, ale to wszystko przez utrapioną guwernantkę, takie sceny wyprawia ona czasem za głupie lekcyje, że aż mama skrzywi się na to, lub uda że nie słyszy.

— Że ta nudziarka chce się okazać gorliwą, to jeszcze nie racyja żeby nam zatruwać życie jakiemiś tam do niczego nieprzydatnemi wymysłami. Jeżeli jej o rozmówki francuskie chodzi—niedziwię się, to potrzebne, przy fortepijanie męczy? ha, cóż począć! potrzeba umieć grać panience, mniejsza o to; ale co mi po arytmetykach, historyjach, botanikach, których mi się każe wyuczać na pamięć, powiadając, że bez tego nie potrafię się znaleść w towarzystwie?

— Nieprawda! Nikt o takich rzeczach niemówi.

— Czemu mię nie uczą tego o czym rozmawiają w towarzystwie?

— Ojciec i stryjo powiadają, że nauka niepotrzebna kobietom, i ja temu zupełnie wierzę, choć w oczy mi tego nie mówią i niby to uczyć się każą. Na co mi nauka? Chłopcy to co innego! Jaś będzie urzędnikiem, to musi szkoły skończyć... Chociaż i nie każdemu chłopcu potrzeba się uczyć. Staś np. że ma spryt do gospodarki i gospodarzem będzie nie tak się już potrzebuje uczyć, z rok jeszcze pobędzie w szkole i zostanie gospodarzem. Ja będę *kobietą!* na cóż mi te wszystkie mądrości?...

Rodzice Maryni są to ludzie poczciwi z kościami; nieszczególnie im się wiedzie, jak zwykle poczciwym ludziom. Łatają biedę jak mogą, wierząc że będzie lepiej, choć coraz gorzej i gorzej się dzieje. Pracują jak mogą, kłopocą się, radzą, nocy nawet nie mają wolnej od troski, a to wszystko dla dzieci.

— Czy o dzieciach tak radzą? O dzieciach? A cóżby o nich mówili? Dzieci chwała Bogu czerstwe, syte i odziane, mają jaką taką nauczycielkę, co ich ani na chwilkę z oka nie spuszcza. Zawcześnie jeszcze myśleć o ich losie a kłopocisków i bez tego dosyć.

Gdyby ich tak zapytać: jakie mają plany względem córek? coby też powiedzieli?

Najprzód zrobiliby wielkie oczy: jak może ktoś zadawać tak dziecinne pytanie.

— A to dobre! przecież do zakonu nie myślimy ich sposobić. Gdy przyjdzie czas, wydamy je za mąż i koniec. Posagu niewiele będą miały to prawda; świat zmateryjalizowany, i to prawda, przecież są jeszcze ludzie co wyżej cenią ród dobry, domowe zasady, i skromność nad posag, obok przewróconej głowy.

— A gdyby też tak, śmierć rodziców, co nie daj Boże, pozostawiła córki wasze niezamężnemi i bez majątku?

— Kpisz, czy o drogę pytasz? czyliż to nie mamy bogatych krewnych... Skądże zresztą tak smutne przywidzenia? Bóg łaskaw, więcej ma niż rozdał!

Marynia rośnie jak różyczka w ogrodzie, świeża i swobodna, rozwija się. Już i długą sukienkę na nią włożyli, w towarzystwie ją uważają za osobę dojrzałą, grzeczność młodzieży wstydzi ją i kłopocze, mama z ciocią nad jej ubiorem prowadzą narady i przestrzegają, aby nie opalała sobie twarzyczki i rączek na słońcu. Marynia jednak jest sobie w duchu małą trzpiotką, żałującą szczerze, że jej niewypada bawić się lalką z młodszym rodzeństwem i skakać. Proszę jednak nie myśleć, że zawsze tak bywa! Marynia przecież czytuje powieści! Miewa ona już chwile poważnej zadumy, staje się wtedy tęskną i smutną; wzdycha, mówi o *ciężkim* życiu i jego *zawodach.* Czasem zapatrzy się w złocone obłoki na zachodzie słońca i wśród cichego wieczoru marzy z podpartą główką, tak jej wtedy rzewnie i tęskno i błogo jakoś... żal tylko że nie ma nikogo coby jej marzenia podzielał.

Praktyczne życie nie jest jej obce, jakby kto mógł sądzić. Czy to raz zdarzy się jej pobiegnąć z kluczykami w zastępstwie matki, ulubionym kurakom nasypać ziarna, wbiegnąć do kuchni, albo wyhaftować sobie kołnierzyk, co mówię, samej odprasować sobie drobiazgi przed wizytą w sąsiedztwo. Seryjo jednak nie pracowała nigdy Marynia, bo któraż z jej stanu kobieta potrzebuje się poddawać dobrowolnie tej konieczności narzuconej z przekleństwem Adamowemu potomstwu? Bawiła się w gosposię dla rozrywki. Naco ją męczyć? Jeszcze się namozoli gdy za mąż wyjdzie, mawiali jej rodzice.

Najpiękniejsza pogoda w naszym klimacie zmienia się nagle w tak ponurą porę, że aż płakać się chce i wierzyć trudno w powrót światła i ciepła.

Okropną chwilę przeszła Marynia: ojciec jej umarł. Czarna ta chwila, której następstwem była utrata całego mienia, przeszła po niej, upadłej w boleści, zalanej łzami. Przyjechali krewni, radzili, gadali i Marynia wkrótce potym znalazła się w domu kuzynów, w wielkim mieście, w stolicy, co niegdyś jak zaczarowana kraina cudów przedstawiała się wyobraźni dziewczęcia. Jakże tu pusto i straszno! Nie ma do kogo ucieknąć się z rozpłakaną duszyczką po słówko miłości i pieszczoty. Tu obce groźne jakieś, kipiące życie, ludzie zajęci, sztywni i chłodni, ledwie parę razy na dzień spojrzą z współczuciem niby, na biedną sierotę, serdeczność ich grzeczna, słowa bardzo piękne, ale nie idą do duszy.

— Kto jest ta panienka co wyszła z pokoju ze łzami w oczach, gdyśmy zaczęli mówić o wiejskim życiu? pyta się ktoś z przyjaciół domu państwa N., opiekunów Maryni.

— To kuzynka bawiąca u nas od czasu śmierci ojca.

— Biedaczka! Przykre wspomnienia nasunęła jej nasza rozmowa.

— Znajdujesz pan zajmującą tę tkliwą istotę? O! przejadłaby ci się ta zajmująca czułość wcielona, gdybyś z nią pobył dłużej. Przyznam się, że tego wszystkiego już za wiele i za długo. Dobre to stworzenie, gąska z zaniedbanym wychowaniem, ale tak ckliwa, tyle nam moralnej przykrości sprawia swym dzikim, piskliwym zachowaniem się, że okropność doprawdy!

Zaczęła się aklimatyzacyja młodej ptaszyny w obcej dla niej warunkach. Chciałem kuzynkę bawiącą przy familii, porównać do ptaka zamkniętego w klatce, do rośliny przesadzonej w doniczkę, ale to są niedokładne porównania. Ptaszek pogodzi się ze swym losem, śpiewa sobie jak w lesie i wesoło dziobie ziarno sypane mu obficie; roślina w doniczce wyrasta bujnie i kwitnie choć nie daje owocu; bez porównania smutniej mi jest patrzeć na ludzką istotę odsądzaną od wszystkiego co stanowi życie, z pozostawieniem wszystkich pragnień serca.

Marynia weszła w skład rodziny, jak obce ciało nie mogące się nigdy z nią ściśle zjednoczyć, jest nadetatowym członkiem martwym względem życia rodziny, żyjącym, aby samodzielnie cierpieć tylko. Niepotrzebna nikomu jak ciężar bezużyteczny, wiedząc o tym, wlecze swą egzystencyją kosztem ludzi, którym nic w zamian dać nie może, którzy w lekceważącej swej bezinteresowności nie chcą pojąć, że ta z konieczności pasożytna istota, przełyka chleb ich z goryczą, ich powietrzem z musu oddycha, nie chcą wiedzieć że prawdziwym dobrodziejstwem byłoby uczynić ją samodzielną dać jej życie i wolność przez pracę.

Biedna Marynia! wdzięczność jej tak się zmieszała z goryczą upokorzenia, że miłości w niej nie ma, równie jak nie ma uczucia w łaskawości jej dobroczyńców. Wdzięczność jej stała się długiem tak wielkim i ciężkim, że... tylko dozgonnym więzieniem umysłu i serca spłaca się.

Wdzięczność jej niespokojna, bez punktu oparcia w możności wypłacenia się, bodaj w nadziei, przygniata ją, robi niedołężną, nieradną niemiłą w dodatku i odstręczającą.

Opiekunowie jej będąc zamożnemi ludźmi i znając nieudolność Maryni nie dają jej żadnego udziału w zajęciach domowych; dozwalają jej zajmować się wyręczniem kogo jej się spodoba. Ggyby usiadła z założonemi rękoma, westchnęłoby nad jej lenistwem, jeśli się chce czym zajmować, uprzedzić jej niezaniedbają iż się niepotrzebnie trudzi gdyż są do tego służący.

Obowiązkiem Maryni jest towarzyszyć córeczce pp. N.

Czy przyjaźń, jako szczery i nienaprężony stosunek, może istnieć między świetną, światową panną, czującą swą wyższość, a biedną dziewczyną, która w jej sukniach chodzi i na każdym kroku odbiera od swej rówieśnicy oznaki względów, która ze swym humorem, z każdym słowem liczyć się musi, aby nie obrazić swej kuzynki? Towarzyszy jej Marynia, śmieje się gdy się śmieje rozpieszczona dziewczyna, pociesza ją i współczuje gdy się dąsa, słucha z wielkim zajęciem dziecinnej gadaniny, gdy kuzynka potrzebuje się wyszczebiotać przed kimkolwiekbądź, jeśli nie przed nią, to przed pierwszą lepszą służebną; w domu, w kościele, na ulicy, czasem na zabawie, służy jej za akcesoryjum lub rozrywkę.

Niewola umysłu i serca wynaturzyła Marynię. Dawniej ładną była dziewczyną, do twarzy jej było we wszystkich kolorach, młodzież parafijalna spoglądała na nią z zajęciem, dziś wygląda jak biedne niebożątko niezwracające niczyjej uwagi. Swieżutkie, roskoszne dawniej dziewczątko dziś jest trochę śmiesznym, trochę wzbudzającym politowanie stworzeniem. Nie dziwmy się, bardzo niskie stworzenie mogło tylko kwitnąć w takich warunkach.

Dawniej miała wszystko w prawach do życia, w nadziejach ścielących się przed nią w świat niby kwiecisty kobierzec, dziś nic nie ma; — tak dalece nic, że gdyby jej

zabrać modlitwę i egzaltowaną pobożność zostałaby więźniem bez nadziei uwolnienia, z więźnia oczekującego błogiej chwili rozkucia cielesnych więzów; gdyby jej jeszcze dodać nieco zuchwalstwa i krwi gorętszej, z rozpaczy rzuciłaby się w życiowe wiry i męty.

Nie będzie tego. Marynia przejdzie przez świat jak cień, nieodcisnąwszy nawet śladu na piasku. Już straciła tę nieujętą jakąś siłę co wre i rwie się w młodych piersiach do świata, do przyszłości, co żywych duchem od umarłych różni; ona już niezdatna do życiowego trudu i gdyby jej dać w rękę ster swego bytu toby go się ulękła. Zamarzyłaby wspominała o cierniach i zawodach życia i ze łzą może odwróciwszy się od wątpliwej przyszłości, rzekłaby: niechcę, niewarto, ja nie mam siły.

Trzeba bo poznać jeszcze jednę chwilę z jej dziejów, chwilę o której dotąd pp. N. nie mogą wspominać bez śmiechu.

— Zakochała się! I w kim? Gust rzeczywiście niewybredny: w potulnym, jąkającym się metrze muzyki!

— To bardzo charakterystyczne, nieprawdaż? dodają przyjaciółki pani N. ilekroć razy gawędka zejdzie na ten przedmiot. Czy to się już zupełnie skończyło?

— O! najzupełniej!

— Szkoda, to było tak śmieszne...

Dziewcze osamotnione było, zamknięte szczelnie w sobie jak w pustelni nieodwiedzanej przez nikogo. Serduszko tylko przed Bogiem spowiadało się ze swych udręczeń, a na ziemi nie miało nikogo, komuby otworzyć swe skarby nagromadzone w ciągu długich lat smutku... Codziennie po południu przybiegał do domu pp. N. młody człowiek ze skrzykami pod pachą, niepoczesna figurka, skromny, cichy a gorliwy nauczyciel muzyki drobniejszej konsolacyi domowej.

Prosty ukłon, potym ukłon z dodatkiem „dobry wieczór“, przez długi czas stanowił jedyny jego stosunek z Marynią. Zczasem przyszło do zamiany paru wyrazów. Pan Karol był nieśmiały i małomówny z natury.

Marynia codziennie przyrządzała mu kawę, on jej dziękował uprzejmie, spojrzał nieśmiało i na tym się wszystko kończyło. Raz o zmroku zdobył się na uwagę:

— Pani taka smutna... to niedobrze; trzeba wierzyć w lepszą dolę“.

Kiedy indziej rozmawiał z nią przez chwilkę o jej rodzicach, o latach dziecinnych, o rodzeństwie jej rozpierzchłym po szerokim świecie, a często po obowiązkowych godzinach grywał ulubione motywa Maryni.

Mój Boże! I to się nazywał romans!

A jednakże oni się kochali. Doszły tego ciekawe oczy kuzynów; nielitościwi wykradli biedaczce jej skarb jedyny z którym się kryła w najgłębszym zakątku serca. Wydarli jej drogą tajemnicę aby się śmiać.

Nie trudno było im odkryć, że coś śmiesznego dzieje się w duszy dziewczyny, bo pominąwszy już rumieńce, niepokoje dziwne, naiwną a niezwykłą jej pretensyją i częstsze spoglądanie w lusterko, potworne jakieś myśli i zachcianki zaczęły się jej snuć po głowie. Wyobraźcież sobie: zachciało się jej chodzić do jakiegoś zakładu, aby się uczyć jakiegoś rzemiosła, czy coś w tym rodzaju. Zrobiła kilka scen z tego powodu i ledwie jej potrafiono wytłómaczyć, że to jest głupstwo śmieszne choć modne podobno, nieprzyzwoite w dodatku, a co najgorsza: przynoszące ujmę domowi.

W parę tygodni po tej scenie pan Karol przestał przychodzić na lekcyje niewiadomo z jakiego powodu. Różnie tłomaczono sobie to zjawisko, aż dopiero Józio, dowcipny bardzo synek pp. N., (który doskonale naśladował jąkaninę pana Karola i wybornie komponował miłosne sceny pomiędzy nim a Marynią, zachodzić mające, wyszperał w pokoiku kuzynki list zniknego bez wieści metra muzyki do niej pisany, i rozstrzygnął zagadkę. W liście tym wyznaje jej Karol swą miłość głęboką i żegna ją na zawsze. Wyznaje że będąc biednym grajkiem bez talentu, nie może marzyć o szczęściu wspólnego z nią życia; że pragnąc takiego szczęścia, zyskawszy nawet wzajemność, nieośmieliłby się nigdy żądać jej ręki — gdyż tylko nędzę mógłby dać tej, której nieba radby przychylić... i t. d.

Od tego czasu pp. N. nie mają już żadnego kłopotu z Marynią. Jest jakby jej nie było, ze wszystkiemi i na wszystko się zgadza, niczym nie narusza domowej harmonii. Dnie całe przechodzą bez zwrócenia na nią czyjej bądź uwagi. Modli się bardzo długo i często, mizernieje coraz bardziej, wkrótce zostanie skończoną dewotką.



D-ra A. Pokornego. Botanika dla polskiej młodzieży niższych klas gimnazyjalnych i realnych, tudzież wyższych szkół miejskich, ułożona przez Ludwika Rzepeckiego, filozofii doktora, nauczyciela etatowego przy szkole realnej w Poznaniu (z 350 drzeworytami).

Dziełko o powyższym tytule, powiększyło liczbę lepszych podręczników botanicznych, jakie posiadamy w języku naszym, dla młodzieży początkującej, jednak nie można powiedzieć, aby nowy podręcznik odpowiadał w zupełności, wszystkim wymaganiom dzisiejszej nauki i pedagogiki.

Autor rozpoczyna podręcznik przedmową, w której daje rady dość zresztą słuszne, wykładającym botanikę; potym przechodzi do określenia botaniki i jej podziału, mówi o pobycie, użyteczności i szkodliwości roślin, o trudnościach w zbieraniu i przechowywaniu roślin, w celach naukowych. W dalszych rozdziałach podany jest opis pojedyńczych roślin, które autor grupuje w 6 gromad, a każdą gromadę dzieli na rzędy, podając wszystkich rzędów 37. Po wyłożeniu właściwej systematyki zapoznaje autor swoich czytelników z „częściami rośliny“ mówiąc o korzeniu, pniu, liściach, kwiecie i owocu. Nareszcie kończy książkę dodatek o układach czyli systematach, rozkład gromad Lineuszowych, przegląd roślin w podręczniku opisanych według systematu Lineuszowego i opis nazwisk roślin po polsku, łacinie i niemiecku.

Do dobrych stron nowego podręcznika botanicznego, zaliczyć należy: *najprzód* wiele wybornych drzeworytów, wykonanych dokładnie i umieszczonych przy odpowiednich roślinach; *powtóre* jasny i treściwy opis pojedyńczych roślin, jako też gromad i rzędów, *potrzecie* obszerniejszy wykład systematu Lineusza, a szczególniej odniesienie wszystkich roślin, opisanych przez autora w jego książce, do odpowiednich klas i rzędów znakomitego szwedzkiego botanika. Wreszcie metoda syntetyczna, w całym podręczniku przeprowadzona. Na niekorzyść dziełka wypada, zupełne pominięcie wiadomości o komórce, tkankach i wogóle o budowie mikroskopowej rośliny, bez których nie podobna mieć dokładnego pojęcia o organizacyi rośliny; opuszczenie nauki o żywieniu się roślin, i o warunkach, przy których roślina może wzrastać; zbyt pobieżne traktowanie organografii, którą autor niewiadomo dlaczego umieścił po za systematyką. W dziale roślin skryto-kwiatowych, niedostaje paru bardzo ważnych gromad jak np. Korzeniowowocowe (Rhizocarpeae). W końcu klasyfikacyja roślin, przyjęta przez autora, nie jest oparta na widocznych podstawach i zdaje się być niezbyt szczęśliwą kompilacyją klasyfikacyi A. W. de Jussien i S. Eudlichera. W każdym razie, przy uczeniu się początków systematyki roślin, botanika Dr. Rzepeckiego odda niezaprzeczone usługi.

A. Słós...

Дозволено Цензурою.—W drukarni Opiekuna Domowego.—Warszawa, Nowy Swiat, Nr. 30 (nowy).

Wydawca i Redaktor Henryk Perzyński.